Do № 202 porannego. Sobota 26 lipca 1930 r.

KURJER WARSZAWSKI DZIECIOM

Rys. S. Norblin.

Juljanowi Ejsmondowi.

Złóżcie swe małe ręce
I módlcie się, dzieciny,
Za Tego, który odszedł
W dalekie już krainy.

Za Tego, który dla was
Kochanie miał najszczersze
I pisał, dzieci, dla was
Swe najpiękniejsze wiersze.

Stoi on już przed Bogiem
Na jasnej, kwietnej łące,
A wkoło niego białych
Aniołów jest tysiące.

Modli się z nimi razem
I śpiewa razem z nimi,
Lecz nadsłuchuje głosów,
Co płyną z polskiej ziemi.

Bo kochał ją, tę ziemię,
Kochał jej pola, drzewa,
I tam, jak tutaj, w dole,
Napewno o niej śpiewa.

I śpiewa może o was,
O polskiej dziatwie drogiej,
Stojąc już u wrót nieba,
I korząc się przed Bogiem.

Więc złóżcie wasze ręce,
Pochylcie wasze głowy,
I z serca się za niego
Prostemi módlcie słowy.

Usłyszy wasze modły
Tam gdzieś, wysoko, w górze,
I pozna wasze głosy
W aniołów słodkim chórze.

I będzie rad i szczęśliw,
Jak w dzień wielkiego święta,
Że dziatwa polska o nim
Wciąż myśli i pamięta.

Z. Rabska.

Lilijka.

W ogródku zakwitły białe lilje. Mała Terenia wychodzi do ogrodu raniutko i staje zachwycona.

— Mamusiu, chodź prędko! Patrz, jakie cudne kwiaty i jak pachną!

— To są lilje, córeczko. Nie zbliżaj się zanadto, w kielichu lilji jest żółty pyłek, pożółcisz sobie nosek.

Ale Terenia zachwycona przechyla wysoką łodygę i wspina się na paluszki, byle dosięgnąć kielicha kwiatu.

— Pachnie, jak cudnie pachnie!

Podnosi ku mamie twarzyczkę, nie czując, że do małego noska przylgnął żółty pyłek i że wygląda z tem bardzo śmiesznie.

— Przejrzyj się w lusterku — śmieje się mamusia.

Terenię w progu wita śmiechem Tatuś.

— A cóż to za żółtonosek? Czy to jest moja córeczka?

Spojrzawszy w lustro Terenia klaszcze w ręce z uciechy. Jakaż jest śmieszna z żółtym noskiem! Jej oczki wydają się jeszcze więcej niebieskie, a złote włoski jakby pobladły.

Terenia się zamyśla.

— Mamusia każe mi jeść, żebym rosła. A czy te kwiatki jedzą?

— Oczywiście. Biorą pożywienie korzonkami z ziemi, a wodę sama im dajesz, podlewając codziennie.

— To dlatego się kwiatki podlewa! — dziwi się Terenia.

Po chwili zapomina o rozmowie z mamą i znów wraca do klombu. Nie uspokoi się, póki nie zerwie lilji. Bierze w rączkę łodygę, przechyla lekko, coraz mocniej, jeszcze troszkę, a kwiat złamany poniesie do kapliczki. Ale coś szepce dziewczynce do uszka:

— Kwiatek żyje... kwiatek cierpi... kwiatek umiera...

Rączka Tereni cofa się.

Cały dzień walczy dziewczynka z chęcią zerwania ślicznego kwiatu. Przed samym wieczorem, zachodzące słonko oświetliło kapliczkę i stojące przed nią w klombie białe lilje.

— Nie wytrzymam, muszę zerwać i włożyć lilijkę do wazonika! — myśli Terenia. — Jak ślicznie będzie wyglądać przy świętej Teresce!

Chwyta szybko lilijkę i przełamuje łodygę. Jakże smutno.

— Mamusiu, ja wczoraj zerwałam lilijkę...— szepce przez łzy.

— Nie gniewam się, córeczko...

— Tak, ale ona umiera z pragnienia. Ach, mamusiu, święta Tereska napewno wolała patrzeć na żywą lilijkę. Pozwól mi wyskoczyć z łóżeczka i dolać wody do wazonika.

— Noc jeszcze, dziecino. Zaśnij, a ja cię obudzę, skoro tylko słonko wstanie.

— Nie, ja nie zasnę. Mamuśku pozwól, tak mi smutno, tak żal lilijki...

Mamusia zarzuciła szal na ramiona i po zroszonym klombie już biegnie do kapliczki, niosąc dzbanek wody. Napełnia wazonik i orzeźwiony kwiat stawia u stóp świętej Tereski, patrzącej ze słodkim uśmiechem na dobrą mamusię.

— Pociesz się, córeczko, lilijka odżyła i wiesz co mi powiedziała? — mówi mama, wsuwając się pod kołdrę.

— Co, co mamusiu?

— że nie żal jej wcale umierać i czuje się szczęśliwa, ofiarowując swą piękność i woń dla Małej Tereni.

Pocieszona dziewczynka zasnęła spokojnie.

S. T. Kościesza.

MUCHA.

Jestem mała, czarna mucha!
Latam, brzęczę koło ucha.
Tu i tam, tam i tu,
Bzu... bzu... bzu...

Gdy zasypia kto lub marzy,
Ja mu na złość... wciąż po twarzy,
Włażę tam, włażę tu,
Bzu... bzu... bzu...

Wszystkim na złość robić wolę!
Na złość kąpię się w rosole!
Pływam tam, pływam tu!
Bzu... bzu... bzu...

Do każdego włażę garnka
Na złość... chociaż klnie kucharka!
Niechaj klnie, czemu nie!
Bze... bze... bze!...

A spytacie: poco, naco?
Ot, bom mucha jest ladaco.
Dzisiaj tam, jutro tu,
Bzu... bzu... bzu...

Gdy dokuczy srogi los,
Włażę wtedy dzieciom w nos.
Tu i tam, tam i tu
Bzu... bzu... bzu...

Marja Okuliczówna.



Rys. M. Wisznicki.

Nieprzyjaciel roślin.

W pięknej willi na letnisku zamieszkali Jerzyk i Maryśka. Jako sąsiedzi bawili się często razem. Dziewczynka była młodsza i podobało jej się wszystko co robił Jerzyk. Chciałaby być podobna do Jerzyka, dzielnego rycerza, zaczęła więc naśladować go we wszystkiem.

Ulubioną zabawą Jurka było ścinanie batem lub kijem kwiatów i rozmaitych ziół, rosnących przy drodze i ścieżkach. Droga, którą przechodził, zasłana była więdnącemi listkami i kwieciem, dokoła sterczały połamane łodygi.

Jerzyk bił pokrzywy — bo parzą, oset — bo kłuje, jaskry żółte za to, że są małe i niepozorne, jasnotę białą — bo brzydka. Wkrótce i Maryśka uzbroiła się w witkę wierzbową i dalejże ścinać główki biednym roślinkom.

— Co robisz, Maryś? — mówiła mamusia. — Nie należy nikogo dręczyć. Patrz, jak smutno wygląda ścieżyna po twojem przejściu. Ile ściętych główek pokrzywy! A tu świętojańskie ziele zniszczyłaś, zanim rozkwitło.

— Pokrzywy parzą, mamusiu. Jerzyk ich nie lubi i ja też. Jerzyk wszystkie zabija, bo on jest rycerzem.

— Prawdziwy rycerz walczy tylko z wrogiem swojej Ojczyzny, ale nie znęca się nad słabymi i bezbronnymi. Każdą roślinkę Bóg stworzył i wszystkie są pożyteczne.

— Ale nie pokrzywa! — mówi Marysia.

— Niemądra córeczko! — uśmiecha się mama. — Nie wolno niszczyć bezmyślnie żadnego stworzenia, a więc i roślin. One również czują i cierpią.

Marysia opowiedziała Jerzykowi rozmowę z mamą.

— Ech! — machnął kijem i złote gwiazdki świętojańskiego ziela posypały się na ziemię. — Mamusia mówi tak naumyślnie, ale ja przecież wiem, że tylko człowiek czuje i żyje. Wszystkie te zielska są wstrętne i niepotrzebne.

— Ale kiedy mamusia...

— Ja jestem Kamahu, wódz dzikich Indjan, strzelam nawet do ludzi i nie żal mi ich wcale! — zawołał Jerzyk. Potrząsnął głową, przybraną w pióropusz i chwycił za łuk. Zabawa w Indjan była jego ulubioną zabawą.

Wieczorem Marysia usłyszała w mieszkaniu na dole krzyk Jerzyka. Wybiegła na balkon i przechyliła się przez poręcz. Mały rycerz zanosił się od płaczu, widać zapomniał, że wojakowi nie przystoi krzyczeć z bólu.

— Mamusiu, mamusiu, Jerzykowi coś się stało! — wołała Maryśka, szukając mamy po wszystkich pokojach.

— Idź tam, idź, bo jego mamy niema, pojechała do Warszawy, a on tak strasznie płacze!

Maryśce strasznie było żal Jerzyka. Pobiegła do niego razem z mamą.

Kamahu, wódz Indjan, rycerz bez litości i trwogi, biegał, jak szalony po pokoju, trzęsąc czerwoną, jak rak ręką. Pióropusz śmiesznie trząsł się nad wykrzywioną, zalaną łzami twarzyczką.

— Jerzyku, co ci się stało? — zawołała prawie z płaczem Maryśka.

— Poparzyłem rękę! Oj, oj, oj jak okropnie boli! — zaszlochał Jerzyk.

Służąca Wikcia wycierała zalaną ukropem podłogę.

— Ma, czego chciał, proszę pani — opowiada mamusi. — Wiecznie z kijami, wiecznie coś bije i tłucze, chciał zabić ćmę, trafił w imbryk i poparzył rękę.

— Chodź do nas, Jerzyku, dam ci lekarstwo i zaraz boleć przestanie.

Marysia prowadziła po schodach przyjaciela, jak ciężko rannego, a Jerzyk wył prawie z bólu.

— Cierpliwości, Jurku. Chcesz być żołnierzem, musisz się nauczyć znosić mężnie cierpienie. Na wojnie bywa jeszcze gorzej.

Mówiąc to, mamusia wydobyła z szafki butelkę złotego płynu. Na dnie widać było żółte kwiateczki.

Nalała płynu na watę i owinęła rękę chłopca, na której zaczęły już wzdymać się pęcherze.

— Do jutra śladu nie będzie — mówiła, gładząc zalaną łzami twarz Jurka.

Po kilku minutach Jerzyk przestał krzyczeć.

— Proszę pani, już nie boli! — uśmiechnął się prze łzy. — Jakie to cudowne lekarstwo!

Mamusia się roześmiała.

— Wiesz, co to jest? Kwiatki świętojańskiego ziela, te same, które w niedzielę podczas spaceru ścinałeś bezmyślnie kijem. Idąc za wami zbierałam biedne kwiateczki, nalałam je potem oliwą i teraz ratują cię od bólu.

— Takie zielsko? — niedowierzająco przyglądał się Jerzyk spoczywającym na dnie butelki żółtym gwiazdeczkom.

— Miła to i pożyteczna roślina — tłómaczyła mamusia. Leczy i inne choroby. Zamiast niszczyć, staraj się, Jerzyku, poznać cudowne własności ziół. Każde powie ci o mądrości Stwórcy — On nic nie stworzył napróżno, najniepozorniejsza roślinka służy do jakiegoś celu, każde zwierzątko, robaczek, trawka jest potrzebna i pożyteczna.

— Tylko nie pokrzywa! — zawołał Jerzyk.

— Jakże ci smakowała wczoraj indyczka, a najzdrowszem jej pożywieniem były właśnie pokrzywy.

Maryśka krzyknęła tryumfująco:

— A widzisz! Nie chciałeś mi wierzyć.

Jerzyk popatrzył na swoją owiniętą rękę — nie bolała już wcale, przypomniał sobie smaczny obiadek wczorajszy — karmioną pokrzywami indyczkę i mruknął:

— Trzeba się pogodzić z ziołami, niema rady!

Stanisław Ochocki.

CZAO - RA.

OPOWIEŚĆ PÓŁNOCNA.

(Ciąg dalszy.)

Nań była przekonana, że mały Wou-Gou już przeszedł szkołę „początkową“, w której, z pewnością oberwał od matki sporo chwytów kłami i ciosów szeroką piersią. Teraz czekała na niego „szkoła wyższa“, kierowana przez samego Marusza.

— Ale ułoży on naszego Wou-Gou na najlepszego psa w całej puszczy! — myślała Nań, z uśmiechem nadsłuchując warczenia szczeniaka, ucztującego w krzakach, zdala od oka ludzkiego.

Pragnął w samotności, niczem się nie krępując, podjeść, jak się należy.

Weszła więc do chatki, zkąd już wołał na nią wyspany znakomicie mały Dugen, opalony, pucołowaty.

Wyciągał do matki rączyny i śmiał się czarnemi, skośnemi oczkami.

Ucałowała chłopaka i krzątać się zaczęła koło garnków, dorzucając do przygasłego ogniska, suche gałęzie i szczapy smolne.

Buchnął płomień, rozświetlił i ogrzał małą izdebkę.

ROZDZIAŁ V.

Daleka wyprawa łowiecka.

Upłynęły już dwa miesiące od chwili, gdy Marusz po raz ostatni rzucił spojrzenie na swoją, porzuconą na długo, chatkę.

Dwa miesiące mrozów ostrych, szalejących śnieżyc i wichrów, pracy ciężkiej, nieprzerwanej i długich marszów po głębokim śniegu, przez gęste, zwikłane krzaki, siekące boleśnie nagiętemi prętami, przez stłoczone zarośla młodych jodeł i cedrów.

Pewnego wieczora Marusz siedział przy ognisku. Spożył już dwie wiewiórki, które, po zdarciu skóry upiekł na rożnie. Smakowały mu, bo, istotnie, wiewiórki posiadają bardzo dobre, białe mięso.

Pociągał z kubka gorącą herbatę, pykał fajeczkę i spoglądał na Czao-Ra.

Leżała przy ognisku objedzona i wzdychała.

Czy, że brzuch miała zbytnio nabity mięsem zająca, czy też, że bardzo spracowaną była po całodziennem myszkowaniu i tropieniu w lesie.

Marusz zadumał się głęboko.

Myśli północnego człowieka były bardzo proste i jasne.

Dziękował Wielkiemu Duchowi, że w ostatnim tygodniu dni wypadły jasne, bez „purgi“, prosił o opiekę nad Nań i Dugenem, o dobrą zdobycz i marzył.

Marzenia te wylały się w pieśń.

Gardłowym, chrapliwym głosem Marusz zawodził:

— Gęsta, ciemna tajga... Na leżących pniach cedrów dużo, dużo śladów... Nizały je sobole czarne... jeden, dwa... pięć... dziesięć... bez liku soboli czarnych, drogich!... Kupcy dadzą za nie dużo wspaniałych towarów... piękne perkaliki i barchany dla Nań... cukier, herbatę... tabakę... Lekkie, mocne, białe, niby ze srebra, kociołki i czajniki... Koniki drewniane, lalki i pierniki dla Dugena... Mały Dugen, uśmiechnięty... tęgi chłopczyna... och! och!... Marusz wyjdzie prędko na tundrę... w krzakach znajdzie ślady lisów żółtych, niebieskich, białych... czarnych, jak węgiel... tych, do których kupcom palą się oczy... Cha... cha!... Całe czeredy lisów!... Wielki Duchu, daj... daj!...

Westchnął i — wzruszony, rozmarzony, umilknął.

Herbata wystygła, więc wylał ją do kociołka i zawiesił nad ogniem.

Zaczął przypominać sobie, ile już zdobył skór i gdzie je pozostawił.

Znowu się uśmiechnął. Trzysta skórek popielic, to już dobrze! A do tego pięć starych, puszystych kun i trzy sobole... Sobole nie bardzo drogie, bo jasne... Dwa łosie... Siedem rysiów... Dwanaście skórek lisich, co prawda, też nie bardzo drogich, bo dziesięć rudych, zwykłych i tylko dwie — nieco ciemniejsze, ale daleko im, niestety, do czarnych, a chociażby — burych.

Postanowił nie bawić dłużej w puszczy.

Zapoluje jeszcze w uroczyszczach Karasah, gdzie spodziewał się znaleźć sobole, a ztamtąd, nigdzie nie zatrzymując się dla łowów, pobiegnie naprzełaj na tundrę... Po lisy białe i te najdroższe — niebieskie i czarne, siwizną, niby szronem okryte... Wielki Duchu, daj! daj szczęście Maruszowi!



Rys. M. Wisznicki.

Zamyślił się łowiec nad tem, że należy oszczędzać proch i nie strzelać więcej do rysiów, łosi i jeleni... Zostawi to na powrotną drogę...

Prawda, że do popielic i kun strzelał tak słabemi nabojami, że prawie nie słychać było huku strzelby, ale nie wiadomo, co go jeszcze czeka w kniei i na tundrze!

Dopił resztki herbaty, przygotował sobie posłanie i usnął spokojnie.

Niczego się nie obawiał. Miał przy sobie Czao-Ra, która, przecież, uprzedzi go o zbliżającem się niebezpieczeństwie.

Nazajutrz o świcie ruszył dalej.

Szedł cały dzień i już noc zapadła, gdy doszedł do uroczyszcza Karasah.

Ponieważ zamierzał pozostać tu dłużej, rozpalił ognisko i przy jego błyskach zaczął sobie urządzać obóz.

Długo mozolił się nad rozgrzebywaniem śniegu, układając go dokoła ogniska w wysoki wał. Sklecił mały szałas, przed którym płonął ogień i wtedy dopiero wziął się do przygotowania wieczerzy.

W okolicach Karasah Marusz pozostawał dwa tygodnie.

Najpierw obiegał całą miejscowość, pozostawiwszy Czao-Ra w obozie.

Przekonał się wkrótce, że kilka soboli miało tu swoje kryjówki. Spotykał ślady ich nietylko na śniegu, nagromadzonym na leżących drze-

wach, lecz nawet koło korzeni jodeł i świerków, a lekkie zadrapania na korze świadczyły o tem, że zwierzęta miały gniazda w niewidzialnych z poza gałęzi dziuplach.

Myśliwy rozpoczął od tego, że rozstawił potrzaski, tak zwane „stępice“ i pułapki, czyli „nasadki“.

Dla użycia ich musiał zdobyć zająca i kilka drobnych ptaszków.

Potrzebował skórki zająca, aby owinąć w nią ręce, któremi stawiał swoje przyrządy łowieckie. Soból bowiem ma ostre powonienie i mógłby odrazu zwęszyć podstęp człowieka.

Marusz brał „stępice“, przywiązywał do drzewa, roztwierał ich stalowe chwytki i kładł zabitego gila na sprężynę, zatrzaskującą żelazne obręcze przy naciśnięciu. Inne pułapki robił sam.

Wyrąbywał ciężki kloc drzewa; jeden koniec podnosił i opierał na kilku cienkich patyczkach. Pod kloc kładł gila. Soból, chcąc się dostać do ptaka, musiał przecisnąć się pomiędzy patyczkami, które, padając, zrzucały na niego ciężar tej pułapki.

Skończywszy z tem, powrócił do obozu i tegoż dnia wraz z Czao-Ra wyruszył na inne polowanie.

Miał ze sobą karabin i siatkę z cienkich rzemieni.

Splatał ją oddawna ze skóry zabitego jelenia, mając dużo wolnego czasu na noclegach, które stawały się z dniem każdym coraz dłuższe.

Odnalazłszy ślad sobola pod drzewem, Marusz zrozumiał, że zwierzątko ma tu swoje gniazdo, dobrze ukryte w dziupli.

Żaden szmer nie zdradzał obecności sobola.

Jednak myśliwy wiedział, co ma czynić.

Otoczył pień drzewa siecią, zawiesiwszy ją lekko na czterech ledwie trzymających się w śniegu rozporkach, wyrąbał krótki, gruby drąg i spojrzał na psa.

(D. c. n.) **F. Antoni Ossendowski.**

Żaby nad morzem.

— Kum... kum, kumciu...
— Pa, kumie!
Jak dziś ślicznie na plaży!...
Czy w tym nowym kostjumie
jest mi aby do twarzy?

— Ach, cudownie, kumeczko!...
...A ja skaczę od rana...
Woda, piasek, słoneczko,
no — i niema bociana!

Mieszka teraz daleko,
gdzie się łąki zielenią
nad moczarem, nad rzeką —
a tu będzie jesienią...

— Co nam bocian!...
— Tu pięknie!
tak, jak w raju tu prawie!...
— Kumciu! Kostjum nie pęknie?
— Nie! Kupiony w Warszawie!...

Tak gadali, gadali,
że jest dobrze na świecie...
A wtem drugi kum wali,
co wyczytał w gazecie:

„Mewy, ptaki srebrzyste,
ostre dzioby też mają
i w ryb braku — pieczyste
z żabek czasem zjadają...“
— ...Ktoby wierzył tam komu!
— ...E, to strachy na lachy!...
— ...Gdzie to kumcia?
— Do domu!
Strasznie mokre te piachy!

— Ja też z kumcią!
— Rzecz taka:
ja też — będzie weselej...

— — — — — — — — — —

...I jak dali drapaka,
to ich tyle widzieli!

Antoni Bogusławski.



Rys. M. Wisznicki.

PAWIE.

—

Leszek kochał ogromnie „Łazienkowską puszczę“. Tak ją nazywał. Codzień spędzał tam kilka dobrych godzin. Znał wszystkie krze i dróżki, bo gdzieżby mieszkaniec prawdziwej puszczy chodził szerokiemi alejami! Zawsze miał tam coś do roboty, do zwiedzania. Francuzka siadywała nad stawem, karmiąc łabędzie i ryby. „To dobre dla bab i dla Francuzek“ — mawiał z dziesięcioletnią dumą. Wyprosił sobie wolność ruchów po całej puszczy, jak mawiał. „Chodzę przecież do szkoły, to i w takiej puszczy ze stróżami nie zginę“. W gęstwinie udawał, że goni stado jeleni.

W lipcu przyjechała w odwiedziny przyjaciółka mamusi Leszka z dziewięcioletnią Bożenką. Leszek miał przed nią wielki respekt. Ta dziewczynka mieszkała stale z rodzicami w puszczy Białowieskiej. W prawdziwej puszczy! szczyt marzeń Leszka! „Mam obiecaną przez mamusię podróż do wszystkich polskich puszcz. Muszę poznać i Kampinoską i Tucholską i Białowieską i Niepoło... Niepoło... — jąkał się.

„Niepołomicką, wiem, wiem, pod Krakowem, tę, co to tam jeździli Jagiellonowie“... podchwyciła Bożenka. „A ty zkąd wiesz? ho, ho! jakaś ty mądra!“ — Zaimponowała mu—choć dziewczynka.

„W nagrodę, oprowadzę cię po Łazienkowskiej puszczy“. Ale Bożenka nie chciała wierzyć, aby to była prawdziwa puszcza. „Z tylu ludźmi, i wagą, i piernikami“—śmiała się.—„Jaka tam ta twoja puszcza“. Ale pieściła oko białym domkiem i pałacykiem nad wodą. Bawiła się w chowanego z nimfą w krzakach i klaszcząc w rączki na widok każdego, odkrytego w gąszczu Fauna, wołała z radością: A„ tuś mi, brzydalu!“

Wielka łąka, pełna białych dmuchawców, koło Pomarańczarni, zyskała jej aprobatę. „No, to już jak kawałeczek prawdziwej puszczy, taka zagubiona polana“. Leszek był dumny z tego orzeczenia. „A te lwy, nie jak w prawdziwej?“ mówił. „Ja co roku z wiosny przychodzę tu popatrzeć na nie, czy im się co złego przez zimę nie stało, przychodzę zobaczyć przebudzenie lwa; jak ryknie, to echo idzie po całych Łazienkach, od pierwszej Pomarańczarni do tej ostatniej, tam na skraju... Przecież to królewskie lwy“, — dodał z uczuciem w głosie. Bożenka życzliwiej popatrzyła na lwy, ale Leszek już parł dalej w głąb puszczy.

„Pokażę ci coś, czego tam w twojej niema. Lubisz pawie?“

„U nas są śliczne czerwone gile, karmię je przez zimowe miesiące“.

„A widzisz“ zatryumfował Leszek. — „Szukajmy pawi“. — I dzieci biegły, rozglądając się wokoło.

„Powinny tu być, na tym trawniku — pokazywał ręką Leszek — zawsze tu spacerują, roztaczając przepych swych ogonów i rozsypując przed naszym zachwyconym wzrokiem słoneczne swe oczy po murawie. Dziś nawet się nie odzywają“. Przystanął, nadsłuchiwał. — Nic nigdzie, cisza. Bożenka zmieniła się w słuch. „Nigdy nie słyszałam krzyku pawia“... szeptała tak cicho, jakby się bała je spłoszyć. — Wieczór się zrobił tymczasem, cudny Łazienkowski wieczór. Od stawu dochodził rechot żab, nietoperz przeleciał, komary unosiły się nad wodą. Wtem: „O u a! o u a!“ rozległo się, jakby głos nowonarodzonego dziecka. „Co to?“ — wyszeptała Bożenka. „To pawie!“ krzyknął radośnie Leszek. „Są, są!“ „Gdzie? ja nic nie widzę“. Rzeczywiście na trawnikach ich nie było, ani w alejkach, ani nigdzie. Powietrze przeszył w tej chwili ten sam przeraźliwy głos i niósł się daleko po obszarze Łazienek. Dzieci rozglądały się z pewnym lękiem; są tak blizko, słychać to po ich śpiewie żałosnym, a nie widać ani jednego. Bożenka wyciągnęła rączkę w kierunku inspektów i pokazała paluszkiem: Na oknie stała pawica i zawodziła ten smutny śpiew. Oboje poszli w kierunku jej wyciągniętej szyi i cóż ujrzeli: na wielkim, wielkim kasztanie, wysoko na gałęziach siedziały pawie; długie ich ogony zwieszały się wzdłuż drzewa.

Dzieci zdumiały się. Patrzyły wystraszone, jak co moment, jeden ptak po drugim, podrywał się z wielką trudnością i ociężałością, przytem długi ogon był mu naturalną zawadą i przefruwał na inne drzewo, lub wspinał się po korze na wyższy konar i tak aż ku szczytowi. Leszek narachował ich siedm. Odpowiadały podobnie żałosnym śpiewem swej towarzyszce na inspektowem oknie.

„żeby tak który spadł nam na głowę“—rzekła szeptem Bożenka i, drżąc, przytuliła się do Leszka. I tak stali oboje, z podniesionemi główkami, zadziwieni tem niezwykłem widowiskiem.

„Nigdy nie widziałem ich fruwających“ — powiedział Leszek. — „Zawsze goniłem je po ziemi“. — „Patrz, wróbelek — mówiła Bożenka — o ile to przyjemniej widzieć nad głową na gałęzi małego wróbelka, niż te pawiowe ogoniaste olbrzymy“.

„Jaka zastanawiająca skala wielkości, od maleńkiego wróbla do wielkiego pawia“, mówił z męską powagą Leszek.

Inne dzieci, bawiące się w parku, przywabione dziwnem zachowaniem się i śpiewem pawi, zbiegały się i z zadartemi główkami podziwiały to niepowszednie widowisko.

„Chodźmy“ — rzekł chłopczyk i pociągnął dziewczynkę za sukienkę. — „Już teraz nie jest prawdziwa puszcza, kiedy takie zbiegowisko gapiów“. Skręcili po mostku koło wody. Bożenka mówiła: „Przyjedź do Białowieży, do nas. Za te pawie, pokażę ci żubry — prawdziwe żubry“...

— „żubry!“ — powtórzył Leszek z ogniem w głosie i w oczach. — „A czy tam u was drzewa szumią“?...

— „Jak w „Panu Tadeuszu“—objaśniła Bożenka.

— „Jak urosnę duży“—mówił Leszek, wywijając leszczynową witką — „będę zawsze mieszkał w puszczy. Sam sobie domek postawię“.

— „Cóż tam będziesz robił?“ wypytywała Bożenka.

— „Będę miał pasiekę, len, konopie, będę czytywał Księgi Święte, jak stryj Norbert...“

— „Ale tak sam! Nie będzie ci żal Warszawy?“

— „Czego?“—mówił.—„Czy tu co szumi, lub śpiewa? Tylko gwizdy a dzwonki i huki tramwajowo-autobusowe.

Tyś mądra. Ty potrafisz i koło lnu zrobić i pszczół nie będziesz się bała i kwiatków mi nasadzisz, nasturcji i floksów... Tyś córka puszczy! Wiesz co? Ciebie tam zabiorę na to pustkowie, ty mi się przydasz; będziemy razem chodzili, gonili wiewiórki, karmili w zimie sarenki, aby z głodu nie zginęły. Ty potrafisz żyć w puszczy! Tobie uda się wszystko i kołacz zrobisz i miód lipcowy i przybywać ci będzie jadła i napitku w komorze, boś ty gospodarna, jak prawdziwa Rzepicha. A nad Księgą Świętą się nie znudzisz?“ — pytał.

— „Zanim rano po rosie wylecę zobaczyć, jak wstała puszcza, przeczytam zawsze z mamusią w głos ustęp jaki Ewangelji, lub życie jakiego Świętego, jak przykazał Ojciec Święty... potem puszcza mnie mamusia spokojnie w las, między zajączki, sikorki i czarne jagody.“

Leszek był zachwycony.

— „A masz swego ulubionego świętego? — pytał.

— „Owszem. Błogosławiony Herman.“

— „Dlaczego ten?“

— „Bo on dążył codziennie do większej doskonałości...“

Dzieci, jeżeli spotkacie Leszka i Bożenkę w Łazienkach — zaznajomcie się z nimi. Oni tego warci...

Marta Mrozowska.

Kaczka i kura.

Kura, pełna strachu, kaczkę przestrzegała,
By się lekkomyślnie w wodzie nie kąpała.
— Gdy zanurzysz łapki i czubeczek głowy,
Moja pani kaczko, katar już gotowy,
A ty cała w wodzie siedzisz aż po szyję.
Nigdy się nie kąpię i — wesoło żyję.
Woda jest do picia, a nie do kąpieli —
Takich kaczce nauk cna kura udzieli.
A kaczka ze śmiechem tak jej odpowiada:
— Co też imość kura za brednie tu gada?
Kura żadna w wodę iść się nie ośmieli,
Lecz dla kaczki życie jest tylko w kąpieli. —
Kaczka swoje prawi, kura odpowiada,
Na dobre zaczęła się już głośna zwada.
Biegną kury, gęsi zwabione tym krzykiem
I kaczki i pawie, indyczki z indykiem...
Indyk wreszcie rzeknie: Na co tyle wrzasku?
Kaczka jest do wody, a kura do — piasku.
Co kaczce na zdrowie, to kurze zaszkodzi,
Niech każda najlepiej swoją drogą chodzi.

H. Rostafińska-Choynowska.

RUDYARD KIPLING.

WYŚCIGI.

(Z powiastki o kangurze.)

Chciejcie posłuchać rozgłośnej dumy
O wielkich i sławnych wyścigach,
Jakich nie widział długich wieków ciąg!
Urządził je wielki bóg Nqong
Z Warrigaborrigarumy,
Szybkobiegaczom znaczny wytoczywszy kres:
Pierwszy biegł Dryblas-Kangur w potężnych [podrygach,
A za nim Dingo — żółty pies...
Kangur wciąż, jak dwa tłoki, prężył nogi [przednie
I skakał — siup! — a siup! — —
Skakał od rana do zmroku:
Skok każdy mierzył dwadzieścia pięć stóp!...
Żółty pies Dingo gonił go usilnie,
Majacząc za nim nakształt żółtego obłoku.
Daleka-ć była to droga, daleka-ć!
Ze zmęczenia mu zbrakło tchu — i nie mógł [szczekać.
Nikt nie wie, kędy biegli i dokąd i skąd,
Nikt za ich biegów nie zdążył przelotem.
W owych to czasach jeszcze ów ląd
Nie nosił nazwy u gminu:
Przebyli stopni trzydzieście
Od cieśnin Torres aż do Leewinu
(Tu mapę do ręki weźcie) —
I znowu gnali zpowrotem...
Gdybyś tak puścił się w cwał
Z Adelaide nad Pacyfik — i bez odpoczynku
Przez jedno biegł popołudnie
(Pół drogi, którą tamci odbyli panowie),
Porządnie byś się wówczas zgrzał,
Aleby ci się nogi rozwinęły cudnie!
Tak mój natrętny synku:
Byłoby wtedy z ciebie dziwo, co się zowie!...

Tłumaczył **Józef Birkenmajer.**



Rys. M. WiszniCki.

ROZRYWKI UMYSŁOWE.

Szarada

SMACZNEGO APETYTU!

Pękaci, krótcy czy dłudzy,
Średni, wielcy i **raz-drudzy**
Pod cieniem wierzby czy lipki
Lubią na wsi łowić rybki:
Płotki, szczuki, **drugie-trzecie...**
(Ach, to czar i rozkosz przecie!)
Nad **sześć-siódmej***) siedzą brzegiem,
Śledząc za wędeczki biegiem.
Ach, cóż te rozkosze warte!
Radość serce **piąte-czwarte.**
Druga-piąta, brzozo, klonie!
Człek z rozkoszą w cieniu tonie
Waszych liści i zieleni
U **sześć-siódmej***), co się pieni
W swoim biegu...
A na brzegu
Tu, gdzie żyto złoci pole,
Pierwsze-siódme i kąkole
Kwitną... Wsi! tyś cudna **szósta,**
Jakież cię wychwalą usta?!
A owoce słodkie, kwaśne,
Jedne żółte, inne kraśne,
Do nich chłopcy i dziewczynki
Mają pełne usta ślinki,
Nerwy od nich mocne przecie
Jak postronki lub **dwa-trzecie.**
Listowiem się w krąg **raz-czwarte**
Wszystko, chociaż swoją kartę
Dawno skreślił wonny maj,
Ale lasek, ogród, gaj
Zrana, czy w wieczora mroki
Ślą swe czary i uroki.
Świętojańskie — patrz — robaczki
Jak obsiadły wszystkie krzaczki;
Choć **raz-czwarte-siódme** chrząszcze
Opuściły w sadach gąszcze
Jeszcze w maju, lecz natura
Na robaczkach lśniących wskóra.

. . . .

Opiewając lipca chwałę
Jem **owoce smaczne całe,**
I Wam życzę, śród dosytu,
Też smacznego apetytu! —

. . . .

Henryk Pianowski.

Termin nadsyłania rozwiązań 14-dniowy.

* Określenie rzeczownika zdrobniałe

Rozwiązanie szarady, umieszczonej w N-rze 147 „Kurjera Warszawskiego“ — Dzieciom.

WIE-WIÓR-KA.

Dobre rozwiązanie, w terminie właściwym, nadesłali: Irka Brzeska, Dzidzia Chapuis, Stefanek Cholewicki, Zbyszek i Januszek Danowscy, Maciuś Dąbrowski, Haneczka Frymówna, Manuś Kelter, Jan Gacek, Bobuś Gdański, Irusia Gliwko, Jerzy Kelter, Hanka i Janka Klepówny, Hania i Krysia Kosmólskie, Wiesio Kozerawski, Staś i Zosia Kułagowscy, Tomek Larycz, B. W. Małkowski, Siasia Marxówna, A. Marzec, Jadzia Millerówna, Bohdan Moszczyński, Wojtuś i Stefanek Nordwindowie, Wł. Okęcki, Rena Ossolińska, Januszek Paszyński, Ala Rosłanówna, Cesia Rudzka, Krysia Skrodzka, Danusia Stępniewska, Dzidzia i Cesia Szulcówny, Elża Śliwińska, Januszek Tarnowski, Jasia i Lolusia Tomaszewskie, Marysia i Jasia Tuszyńskie, Irusia i Halusia Vatterówny, Michaś Walden, Geniuś Walecki, Tadeusz Wąsik i Niunia Włodykówna wszyscy z Warszawy, oraz z poza Warszawy: Stanisław Chodynicki i Jurek Żołędowski z Poznania, Lenusia Fryczówna z Lublina, Zofja Waszkiewiczówna z Łodzi, Krysia Janczurówna, Zbigniew Święcki z Kielc, Władek Zwolski z Sandomierza, Danusia Białowiejska z Białegostoku, Maryla Kamińska z Kutna, Andrzej Kaluża z Włocławka, Halina i Janina Kalużanki ze Skierniewic, Haneczka Jastrzębska z Ciechanowa, Hela Rogalewiczówna z Dąbrowy Górniczej, Wandzia Fronczakówna z Nowego Dworu, Jasio Will z Pruszkowa, Sławuś Domagała, Niunia i Bola Wielgoszówne z Wielunia, Zbyszek Prawicki z Sieradza, Jadziulka Elwertowska z Brwinowa, Ryś Kazikowski z Mińska Maz., Ewa Osetowska z Mińska Maz., Jadzia Plucińska z Leśmierza, Marysia Kłaczyńska z Łęczycy, Marysia Maciejko i Wandzia Penkalówna z Gąbina, Zosia Staniszewska z Makowa Mazow., Bohdan Wasilewski z Raciąża, Hanusia Sztolcówna z Borowiczek, Wojtuś i Basia Jurewiczowie z Brudzewa, Jadzieńka Luchtówna z Lipowca Kościelnego, Oluś Lorek z Ostrówka, Irenka Sokołowska z Łychowa, Ziazia Daszkiewicz m. Reczków, Marysia Piławska, Ryś de Sylor z Henrykowa, Staś Żytny z Brwilna i Stefan Załuski z Siekierzyc.

Mylne rozwiązania: Wycieczka, Wiosenka, Wakacje.

ODPOWIEDZI

DZIAŁU „ROZRYWKI UMYSŁOWE“.

Wojtusiowi i Basi Jurewiczom w Brudzewie. Proszę szukać swych nazwisk w „Kur. War.“ (wydanie wiecz.) z dnia 15 b. m. Nr. 161. (Pierwsza szpalta u dołu(.

W drukarni „KURJERA WARSZAWSKIEGO“ Krakowskie Przedmieście № 40.
Redaktorowie naczelni: Ferdynand Hoesick i Konrad Olchowicz
Wydawcy: Feliks Mrozowski i Konrad Olchowicz.